

# KUŹNICA

## SPRAWY NARODOWE SPOŁECZNE I KULTURALNE DWUTYGODNIK

NR 3 (25)

KATOWICE, 1—15 LUTEGO 1937

ROK III.

ALOJZY TARG

## Walka o nową niepodległość

Jednym z kardynalnych postulatów, wynikającym z idei Polski narodowej, jest unarodowienie życia gospodarczego w Polsce. Unarodowienie, to znaczy usunięcie z gospodarstwa polskiego elementów obcych, względnie takie ich zredukowanie, aby na ideologię i strukturę gospodarczą Polski nie wywierały żadnego wpływu. Pod tym względem obecny stan rzeczy u nas przedstawia się bardzo źle. Są bowiem działy gospodarstwa, których rozwój pozostaje pod wpływem kapitału obcego, czy też pewnych mniejszości narodowych, ale na który minimalny wpływ wywiera naród panujący, gospodarze, biorący za państwo odpowiedzialność, Polacy. Od odzyskania niepodległości politycznej minęło lat 18. W ciągu tak znacznego okresu czasu stan polskiego posiadania gospodarczego nie posunął się naprzód ani o krok (poza mały wyjątkami), ha, w wielu dziedzinach skurczył się w sposób nieprawdopodobny. Uwagi powyższe zilustruje.

Cyfr ścisłych nie mogę podać, raz, że ulegają one zmianom, a po drugie, nasze oficjalne statystyki pomijają pewne problemy i działy — może robią to celowo — a stąd wiele podstawowych danych statystycznych jest zupełnie nieznanymi. (Swoją drogą, co warte są takie statystyki?). Ale nawet ogólne dane są niezmiernie wymowne. Według G. Czechowicza, b. min. skarbu, w przemyśle węglowym było (r. 1933) 88,7% obcego kapitału, w naftowym 86%, w hutnictwie 73,8%. (Łojalnie stwierdzić trzeba, że w ostatnich latach, szczególnie w hutnictwie, sytuacja uległa pewnej poprawie). W innych działach przemysłu stan rzeczy przedstawia się analogicznie, w każdym zaś razie udział kapitału obcego przekracza 50%. Wielokrotnie na łamach tego pisma wskazywałem, w jakim stopniu opanowany jest przez żydostwo przemysł, rzemiosło i handel, zwłaszcza średni, drobny i wędrowny, oraz zagraniczny. Nie będę powtarzał dawniej zestawionych cyfr. Z wyjątkiem banków państwowych i samorządowych prawie wszystkie wielkie banki w Polsce są w rękach kapitału zagranicznego albo żydowskiego. W niektórych zwłaszcza miastach w szybkim tempie przechodzą nieruchomości w ręce mniejszości narodowych (n. p. Katowice: Żydy, Łwów: Rusini). Pozostaje jedna tylko ziemia. Istotnie większość ziem jest w rękach polskich, jakkolwiek i w tej dziedzinie z każdym rokiem coraz bardziej cofa się żywioł polski i to głównie na Kresach

W województwach południowo-wschodnich przeszło bowiem w ręce ukraińskie ponad milion ha ziemi. Na zachodzie zaś ciągle jeszcze około 2/3 miliona ha jest w rękach niemieckich. Wzrasta stale skup ziemi (folwarków) przez kapitalistów i spółki żydowskie. Fakt ten od wszelkich słów najlepiej ilustruje „znakomite” wyniki naszej polityki tolerancyjnej. Co do spółdzielczości to znakomicie rozwija się spółdziel-

czość ukraińska (zorganizowali już prawie 1/3 ludności), świetnie zaczyna się organizować spółdzielczość niemiecka, a jeszcze słabo naogół rusza się, a na niektórych terenach ledwie ziplę polski ruch spółdzielczy.

Wywalenie dawno otwartych drzwi byłoby dowodem, że opisany stan rzeczy musi ulec zmianie. Zdać sobie natomiast trzeba sprawę z tego, że przeprowadzenie radykalnych i stanowczych zmian w tym kierunku to rzecz bardzo trudna, że społeczeństwo polskie czeka nowa, ciężka walka, walka o gospodarczą niepodległość Polski. W walce tej najtrudniejszą kwestią do rozwiązania to zagadnienie żydowskie, znacznie trudniejszą niż sprawa kapitału zagranicznego w przemyśle, handlu, bankowości czy parcelacji wielkich latyfundiów niemieckich. A właściwie, jeśli którykolwiek z tych problemów, to zagadnienie żydowskie przede wszystkim musi być rozwiązane i to, pomijając już powszechnie znane względy, z jednego nade wszystko, o którym stale się zapomina: bez zlikwidowania kwestii żydowskiej w Polsce nie będzie można w pełni zrealizować idei przebudowy społeczno-gospodarczej. Zanim uzasadnim powyższe zdanie, przytoczę kilka szczegółów historycznych.

Prof. Rybarski w swej sławnej książce p. t. „Handel i polityka handlowa Polski w 16 wieku” powiada, że w 16 w., a więc w czasie, gdy Polska doszła do największego rozkwitu gospodarczego, zwłaszcza w handlu zamorskim, wpływy żydów na gospodarstwo Polski były minimalne, w handlu zaś prawie się nie pojawiały. Im bardziej jednak podpadała gospodarczo Rzeczpospolita, tym silniej opanowywali oni życie gospodarcze. W wieku 18 opanowali je w bardzo poważnym stopniu (głównie handel). Lichwa (pożyczki lichwiarskie), nieuczciwość podatkowa, przemyt, fałszowanie monet i stempli, handel nielegalny tytoniem (po wprowadzeniu monopolu), fałszowanie spisu ludności (w celach podatkowych), przekupywanie urzędników, oto kilka przykładów, ilustrujących wyraźnie rolę, jaką odegrali żydzi w dziejach gospodarczych dawnej Polski. Rola nawroś dostrukturyzacji, rozsądzająca organizacyjną i moralną więź polskiego gospodarstwa, podstawę zaś skarbu państwowego w szczególności. Jakże aktualne są dziś te szczegóły historyczne. Jakże wymownie świadczą one o wiernym naśladowctwie swych przodków przez współczesne nam żydostwo. Ale to nawiasem. Wracam do wyżej postawionego twierdzenia.

Jest rzecz zrozumiałą, że bez rozwiązania problemu żydowskiego koncepcja gospodarczej przebudowy Polski natrafi na zbyt wielkie przeszkody po drodze nie tylko ze względu na olbrzymi wpływ, jaki żydzi wywierają na życie polskie w chwili obecnej, ale jeszcze z innych przyczyn. Żydzi rasowo, religijnie, moralnie, a zwłaszcza gospodarczo stanowią zdecydowanie odrębną, wyraźnie

wśród ludności Polski odcinający się organizm. Organizm niezainteresowany całością państwa i gospodarstwa polskiego, mający własne interesy i cele, po największej części sprzeczne z interesami tej całości. Nie podporządkują się naczelnym założeniom idei przebudowy, stawać będą w poprzek drogi, aby ją rozsadać, jak rozsadzali fundamenty pod reformami gospodarczymi w okresie sejmów 4-letniego choćby przez łamanie podstaw polityki podatkowej. Będą działać na szkodę wielkich reform gospodarczych przy pomocy wszelkich dostępnych środków już choćby z tej przyczyny, że reformy te muszą się odbyć w dużej mierze ich kosztem. Chyba tylko człowiek bezgranicznie naiwny może sobie wyobrazić, że jest możliwa gruntowna zmiana położenia wsi polskiej na drodze samej tylko reformy rolnej. Reforma rolna nie wystarczy, ponieważ nawet przy najradykałniej pojętej parcelacji dysponujemy zbyt małą ilością ziemi. Wobec tego część ludności musi uciec, a to emigracja nie wchodzi prawie w rachubę, stąd ludność ta musi odpląnąć do środowisk miejskich. Miasta zaś nasze przy swej obecnej strukturze ludnościowej i gospodarczej nie są w stanie pomieścić nadmiaru ludności wiejskiej (i nie będą w stanie nawet w lepszych warunkach niż dziś). Handel i rzemiosło jest przesycone i to na skutek nadmiaru żydostwa w tych zawodach. Tworzenie nowych placówek musiałoby dać w przyszłości jeszcze większą pauperyzację miast. Wniosek stał prosty. Jeśli miasta polskie mają być rezerwuarem, wchłaniającym ludność wiejską, to musi odejść z nich ludność żydowska i to poza granice Polski. Innej rady nie ma. Akurat tak się składa, że 3 i pół miliona żydów w Polsce, to mniej więcej cyfra, na którą szacuje się przeludnienie wsi polskiej.

Byłoby rzeczą niezmierznie wskazaną, aby ci wszyscy, którzy głoszą hasła reform gospodarczych, a pomijają przy tym konieczność rozwiązania problemów mniejszościowych, szczególnie za niektóre radykalne organizacje chłopskie, dobrze sobie uświadomili ścisły związek, jaki zachodzi między zagadnieniem przebudowy gospodarczej, przeludnienia wsi, a problemem żydostwa.

Skoło pewnym jest, że gospodarstwo nasze pozostaje pod przemożnym wpływem czynników obcych. Wrogich narodowi, że rozwiązanie kwestii żydowskiej to rozwiązanie 2/3 zagadnienia gospodarczej niezależności Polski, to jasnemu równocześnie jest, że społeczeństwo polskie czeka ciężka walka, i to szczególnie ciężka w okresie kilku najbliższych lat. Dlaczego? Nieraz pisaliśmy na łamach „Kuźnicy”, że społeczeństwo samo bez pomocy rządu i organów państwowych nie rozwiąże bez reszty sprawy żydowskiej. W akcji tej musi mieć poparcie państwa i ustawodawstwa państwowego. I oto w czasie obecnej sesji izb ustawodawczych

PIOTR LEJWA

# Parcelacja wielkich majątków niemieckich na Śląsku koniecznością państwową

LATYFUNDIA GÓRNOŚLĄSKIE

I.

Obecna wielka własność latyfundiarna i fideikomisowa w Województwie Śląskim jest dość specyficznym wytworem dziejów politycznych, społecznych i gospodarczych ostatnich stuleci na dawnych i teraźniejszych ziemiach śląskich, — jest wytworem, za który lud śląski — w jakiej by nie pozostawał dzielnicy tych ziem — ciągle i nieprzerwanie płacił, a płacić krzywdami swymi, — ogółu i jednostek, nieszczęściem rodzin, nędzą bytowania, przymusową pańszczyźnianą niewolą dworską swoją i swych dzieci, stała poniewielką, dośrodkowym okropnym wyzyskiem wszelkiego rodzaju, rabowaną pracą, krwawicą i łzami. Za wytwór ten płacił ziemią swą własną, odwiecznie użytkowaną z pradziadów na ojców, z ojców na synów, — ziemią odebraną mocą prawa poddaństwa, mocą prawa zwierzchnictwa gruntowego, mocą prawa „wyższej” własności, przymusem popartym karą „na majątku, na ciecie i na gardle”, krwawym tłumieniem buntów, — przymusem z głodu i moru idącym, karą wojaka, forticy, więzienia, karą bicia i tortur....

Opisanie tych dziejów wymagałoby grubego tomu. Tu ograniczamy się jedynie do momentów najważniejszych.

Po różnych obcych panowaniach nad Ziemią Śląską, po różnych jej podziałach nastąpił podział najtragiczniejszy. W r. 1742, w myśli pokoju Wroclawskiego, król pruski Fryderyk II wydarł cesarzowej austriackiej Marii Teresie po zbrojnym napadzie, — tak zw. pierwszej wojnie śląskiej — większość Ziemi Śląskiej prócz księstw Opawskiego, Niskiego i Cieszyńskiego. Po drugim takim napadzie i po wojnie siedmioletniej, zakończonej pokojem w Hubertsburgu w r. 1763, podział ten utrwalił się. Od tego czasu austriacki bieg spraw włościańskich na Śląsku rozdzielił się na dwa biegi — austriacki i pruski. Austriackiego ich biegu opisywać tu nie będziemy. Zaczynają tylko musimy, że od roku 1920 sprawa włościańska w tej części Śląska podlega działaniom polskich przepisów ustawowych o wykonaniu reform rolnych, mających przede wszystkim na celu dobro ludności włościańskiej.

Pruski bieg śląskich spraw włościańskich — od r. 1742 do połowy 1922 r. — przechodził rozmaite fazy i okresy.

W okresie od r. 1742 do 1786 za panowania Fryderyka II, a właściwie do 1807 r., w którym to roku ukazał się pierwszy edykt w sprawie włościańskiej z szeregu ustaw znających poddaństwo i uwłaszczających włościan, ustawicznie pogarszała się ich i tak beznadziejnie ciężka sytuacja gospodarcza, społeczna i poli-

tyczna na rzecz pomyślności obcych obszarników pruskich. Liczne, wielokrotnie powtarzane, zadowały się energiczne, bezwzględne zarządzenia królewskie, mające ochronić chłopów śląskich przed rugowaniem z ziemi, przed włączeniem ich gruntów do folwarków, przed powiększaniem ciężarów robocizny i świadczeń pańszczyźnianych w naturze i gotówce, które to zjawiska narastały w sposób przerażający i oburzający króla pruskiego, któremu zależało na rekrutowaniu włościan dla powiększenia swego wojska, — spowodowały — i to wszystkie bez wyjątku — skutki wręcz odwrotne i niezamierzone. Zarządzenia te, wydawane były zbyt pośpiesznie i fragmentarycznie, bez wnikięcia w zjawiska podstawowe, bez znajomości i zrozumienia całokształtu istotnych stosunków na Śląsku, wykonywane były przeważnie przez nastanych urzędników pruskich, dbających raczej o efekt zewnętrzny, aniżeli o istotne zmiany agrarne, przedkładających karierowiczowskie sprawozdania królowi, że zarządzenia zostały efektywnie wykonane, gdy w istocie niewiele się zmieniło, a co się zmieniło wracało do dawnego lub jeszcze gorszego stanu.

Rugowania włościan nie ustawały. Tworzone wprawdzie nowe drobne gospodarstwa, ale jednocześnie znikały dawne większe, a różnice na obszarach wcielano do folwarków. Nadwyżki ilości nowych gospodarstw były największe na części górnośląskiej obecnego naszego województwa, ale były to gospodarstwa przeważnie zupełnie karłowate, tworzone na lichych glebach pólennych, aby tylko osadzić jak najwięcej robotników różnych kategorii wśród karłowatych lasów, przy rozszerzanych lub nowozakładanych folwarkach, nowourządzanych stawach rybnych lub przedsiębiorstwach przemysłowych. Jednocześnie rosły niewspółmiernie nakładane na dawnych i nowych drobnych chłopów, ogrodników, chalupników, oraz na komorników i robotników wszystkich kategorii ciężary, roboty, opłaty i świadczenia na rzecz dworów prywatnych, gdyż kościelnych dóbr prawie tu nie było, a domeny państwowe zostały jeszcze za czasów austriackich na naszej części Górnego Śląska sprzedane z licytacji w ręce prywatne, — nie było więc czynników łagodzących w pewnym stopniu położenie włościan. Ludność pańszczyźnianą zmuszano do robót w kopalniach i hutach. Nie pozostawiano jej dość czasu ani pogodnych dni dla uprawy, zasiewu i żniwa we własnych gospodarstwach.

Ustalanie przez zarządzenia królewskie maksymalnych norm ciężarów pańszczyźnianych i poddańczego doprowadziło do ujednolinitości tylko i do rozpowszechnienia najwyższych norm tych ciężarów na okolicę i gospodarstwa, w których indywidualnie i zwyczajowo stosowane były dotychczas niższe, a nawet wprowadzało zupełnie nowe, przedtym nieznanne na skutek błędnego sformułowania dawnych, z czego skwapliwie korzystali obszarnicy, a wskutek czego ludność większa jeszcze bardziej cierpiała.

Wielokrotnie kategoryczne nakazy restytucji zlikwidowanych gospodarstw chłopskich nie były wykonywane lub wykonywane były fikcyjnie, albo też z założeniem takich ciężarów i z takim szykanowaniem, że nowoosadzeni chłopi sami uciekali. Zakazy obniżenia gospodarstw chłopskich ponad 50% wartości, aby uniknąć licytacji ich lub zabrania przez dwory, doprowadziły do jeszcze szybszego ich włączania do folwarków, gdyż w ówczesnych warunkach musiały być wysoko zadłużane przy systemie wysokich ciężarów poddańczych, — tak że zakazy te musiały być wreszcie cofnięte. Ostateczny wynik „ochrony” był zupełnie negatywny. W powiecie pszczyńskim i sąsiednich powstawały buntury chłopskie,

krwawo tłumione dragonami. Obszarnicy wygrali.

Należy podkreślić, że prawie do tego okresu, bo do dziewięćdziesiątych lat 18-tego wieku na terenie Śląska austriackiego sytuacja włościan pod względem formalnej ochrony prawnej przeciwko nadużyciom obszarników znacznie się poprawiała, gdyż Maria Teresa, następnie syn jej cesarz Józef II, zwłaszcza ten ostatni, dotknęli utratą przeważnej części Śląska, starali się z tego względu, jak też ze względów ogólnopaństwowych, coraz usilniej o istotną poprawę położenia włościan wbrew opozycji magnaterii, której wpływy polityczne były bardzo silne i w ówczesnych warunkach mogły być jeszcze niebezpieczne dla dynastii i państwa, gdyby nie wywoływane przez tąże magnaterię buntury chłopskie.

Buntury chłopskie w Czechach i różne „niepokoje” włościańskie na Morawach i na Śląsku tłumione krwawo wojskiem, wzięciami i innymi karami, były jednocześnie argumentami cesarstwa dla przeprowadzenia reform agrarnych w stosunkach poddańczo-pańszczyźnianych Śląska austriackiego. I gdyby cesarz Franciszek II nie był uległ magnaterii, nie cofnął najbardziej skutecznych zarządzeń Józefa II-go, gdyby monarchia austriacka nie zaniebrała z końcem 18-go wieku dalszych reform agrarnych, — karta Europy wyglądałaby dziś być może zupełnie inaczej.

W początkach 19-go wieku, pod wpływem ideologii rewolucji francuskiej, zwycięskich wojen Napoleona i konieczności ratowania pobitych Prus, — inicjatywę istotnych reform agrarnych, w szczególności na Śląsku Górnym, ponownie przejął król pruski. Pruski minister von Stein w jednym ze swych pism 1809 r. stwierdzał, że „stan włościański ma się w Austrii (nie na Węgrzech) znacznie pomyślniej aniżeli w państwie pruskim, gdyż od r. 1772 zniesiono wszelkie służebności osobiste, — domeny (majątki państwowe) zostały rozdrobnione, — chłop otrzymał na swój kolonat (gospodarstwo) prawo własności, — propinacje i przymus młynowy zostały od czasów Józefa II na domenach i przy domenach zniesione, pozostał tylko przymus karbowany, — wszystko to dotyczy również Galicji, gdzie chłop nie może być pozbawiony swego gospodarstwa, — w każdym powiecie istnieje jeden lub więcej adwokatów dla poddańców, którzy obowiązani są zastępować prawa poddańców przeciwko właścicielom ziemskim”.

Uwagi von Steina dotyczą zaledwie kilku zagadnień, poza którymi istniało jeszcze mnóstwo innych, nieuregulowanych na Śląsku austriackim, zwłaszcza w posiadłościach prywatnych, latalnych dla włościan. Uwagi te dobitnie stwierdzają też — jak o wiele jeszcze gorzej musiało być włościanom na Śląsku pruskim, gdzie błędne zarządzenia Fryderyka II Wielkiego nie odniosły żadnego dodatniego skutku dla włościan — i gdzie w dalszym ciągu rugowano włościan, a powiększano ich kosztem folwarki. Ziemia włościańska kurczyły się — rosły latyfundi.

Twierdzenia tego nie należy jednak uogólniać. Dotyczy ono w mniejszym stopniu Śląska Dolnego, gdzie przeważała już wtedy ludność niemiecka lub ziemczona, gdzie w dobrach kościelnych katolickich lepiej odnoszono się do poddańców, mniej ich męczono pańszczyzną i wprowadzono przeważnie system czynszowy zamiast robocizny, a użytki rolne pozostawiono włościanom przeważnie dziedziczne, co zmniejszało i panów świeckich, w szczególności ewangelickich do względniejszego traktowania włościan, aby nie zmuszać ich do zmiany wiary. Twierdzenie to dotyczy przede wszystkim Śląska Górnego, a tu zwłaszcza jego powiatów wschodnich na prawym brzegu Odry, a więc przede wszyst-

premier Składowski złożył oświadczenie, że rząd stoi przy zasadzie bezwzględnej tolerancji, że na żadną walkę z żydostwem nie pójdzie, że użyje wszelkich środków, aby się jej przeciwstawić. Trudno o bardziej przykre wyznaczenie, o bardziej wyszukane środki do pogłębienia już istniejącej przepaści między narodem a rządem, do pobudzenia bardziej gorących elementów w społeczeństwie do odruchowego, a stąd często niewłaściwego rozwiązywania problemu żydowskiego. Jeśli szef rządu sądzi, że porażki na to przy pomocy policji i Berezy, to się ludzi.

W tych szczególnych warunkach sprawa zasadniczą jest dobór środków i metod walki. Ale o nich przy innej sposobności. Na razie stwierdza, że dobór wspomnianych metod i środków musi się odbywać pod naczelnym hasłem walki o nową niepodległość, walki wytrwałej i konsekwentnej aż do całkowitego i ostatecznego zwycięstwa, w lepszych niż dziś warunkach politycznych.

kim obecnej części górnoląskiej naszego województwa. Tu istniały latyfundijskie leśne i rozprzestrzeniły się folwarki, a miejscami przedsiębiorstwa kopalniane, — tzw. „osiadłych” na ziemi włościan, czyli rolników-użytkowników w dzisiejszym rozumieniu było stosunkowo już mało, przeważały różne kategorie robotników bezrolnych. Osiadli rolnicy tzw. rusykaliciści podzielani byli na liczne kategorie od pełnorolnych do najbardziej karłowatych pod nazwami — rolników (Bauer), półrolników, ćwierćrolników, półćwierćrolników, półrola-rolników albo pod nazwami wielkich i małych rolników, wielkich i małych ogrodników, wolnych ogrodników, ogrodników do młocki, chałupników z ziemią lub tylko z chałupą, i t.p. według rozmaitych lokalnych zwyczajów. Ale wszyscy ci osiedli na majątkach prywatnych dzielili się na wkupionych i niewkupionych. Niewkupiony rusykalista użytkownik posiadane grunty zwykle dożywotnie, o ile sprawował się pod wszystkimi względami należycie i nie naraził się swemu panu lub jego funkcjonariuszom, — nie miał do nich żadnego prawa, gdyż mógł być one każdego czasu oddane całkowicie lub częściowo i oddane innemu, — był „gospodarzem aż do odwołania”, mógł być każdego czasu zdegradowany do niższej kategorii, do tej lub innej służby folwarcznej, na chałupnika lub komornika, robotnika dniówkowego, a nawet tu ówczas faktycznie, choć wbrew zakazom prawnym, zamieniony do innego majątku lub, jak się też niekiedy zdarzało, sprzedany.

Łatwo więc było na Śląsku Górnym usuwać, gdy tego chciał właściciel, chłopów z ziemi, parcelować ziemię chłopską pomiędzy większą ich liczbą na drobniejszą gospodarstwa, zmieniać na inne cele lub włączać do obszarów folwarcznych. Było to z korzyścią dla obszarników, lecz z coraz to większą szkodą dla mas ludowych i w ostatecznym wyniku dla państwa pruskiego, którego kierownicy dążyli do odro-

JÓZEF JAKUBOWSKI

## Polacy w Wolnym Mieście Gdańsku

Uwagę polskiej opinii publicznej w ostatnich czasach coraz więcej zajmuje sprawa Gdańska. To, co się na terenie Wolnego Miasta od chwili umocnienia się tam reżimu hitlerowskiego dzieje, nie może nie budzić głębokiej troski i poważnych refleksji na temat tego, jak ułoży się w najbliższej przyszłości stosunek Gdańska do Polski.

Kiedy w ostatnim roku wojny światowej Prezydent St. J. A. P., Wilson, w orędziu z 8. I. 1918 r., zawierającym słynnych 14 punktów, ogłosił konieczność utworzenia państwa polskiego z dostępem do morza, wstąpiła w serca Polaków radość i nadzieja, że zwycięstwo Koalicji i pogrom Niemiec przyniesie powrót Gdańska do Polski. Nie spełniły się jednak te nadzieje; wrogie nam czynniki doprowadziły do tego, że ujęcie narodowej polskiej rzeki Wisły na podstawie art. 100 — 108 Traktatu Wersalskiego, znalazło się poza naszym państwowym terytorium. Utworzono z niego W. Miasto Gdańsk, w którym dla umożliwienia Polsce korzystania z dostępu do morza przyznano jej pewne prawa, do których należały: kierownictwo stosunkami zagranicznymi Gdańska i obrona wojskowa jego terytorium, sprawy celne, zarząd kolei, zarząd

Wisła, wreszcie zarząd portu gdańskiego. Przyznano jednocześnie Polsce całkowite równoprawienie jej obywateli oraz obywateli gdańskich narodowości niemieckiej. Było to minimum tych uprawnień, które mogliśmy w Gdańsku otrzymać, a i te uprawnienia zostały pomniejszone przez późniejsze umowy polsko-gdańskie. Umowa paryska z 9. XI. 1920 r. pomniejszyła traktatowe uprawnienia Polski w Gdańsku przez ustanowienie Rady Portowej, przez co usunięta została pierwotna wyłączność Polski w zarządzie portem gdańskim. Umowa warszawska z 24. X. 1921 r., a także i późniejsze decyzje Wysokiego Komisarza Ligii Narodów w W. M. Gdańsku i samej Ligii Narodów, sprawujące opiekę nad Gdańskiem, jeszcze więcej prawa polskie w Gdańsku pomniejszyły.

Zarząd W. Miasta znalazł się od samego początku w rękę szowinistów pruskich, którzy wbrew oczywistym interesom Gdańska wszczyłi z Polską ciągłe spory i absorbowali świat i Ligę Narodów sobą, ażeby wytworzyć pozory niemożności utrzymania tego stanu rzeczy, jaki u ujścia Wisły stworzył Traktat Wersalski. Mimo bezspornych gospodarczych korzyści, jakie Gdańsk zaczął ciągnąć z gospodarczego związania go z Polską, korzyści, wyrażających się choćby w przeszło 3-krotnym wzroście ruchu w porcie gdańskim w porównaniu z czasami przedwojennymi, Gdańsk stale krzyczał o swej krzywdzie, nie dotrzymywał zobowiązań wobec Rzpłitej i wykorzystując naszą chroniącą pobłażliwość sabotażował wykonanie postanowień, dotyczących równoprawienia Polaków.

Nasza polityka w stosunku do Gdańska nigdy, jak dołąd, nie zdobyła się na konsekwentne i zdecydowane postępowanie. Nie umieliśmy iść w ślady Włochów, którzy w r. 1920 opano-

wienia siły militarnej, rozbitej przez Napoleona. W tych warunkach rząd pruski przejął, jak już zaznaczono, inicjatywę austriacką i wdrożył akcję uwalniającą włościan z poddaństwa, ograniczającą pańszczyznę i wreszcie doprowadził do uwłaszczenia włościan. Napotykał jednak wszędzie, jak i cesarze austriaccy, na przeciwdziałania potężnego ziemiaństwa.

(c. d. n.)

JAN BARANOWICZ

## Zbieracz świętków

Z cyklu: — Dziady i włóczęgi wielkowi.

Nazywał się Władek Gorgul.

Wybuchał jak topół nadwiślańska a niezdarny i niepozorowany był jak człowiek paraliżem tknięty. Nogi — dwie knagi drewniane, grzęzły w ślebach buciurów, krojących na wyrost, o cholewach sukniaków i szerokiach. Na knagach tych nóg wspierało się z grubszą ciösane dzwono tułowia, o sklepieniu piersi ciężko przegiętym w przód, jakby je przygniatał blok głowy kanciasty i nieforemny, opierzony rysawym mchem zarostu.

Przypominał żywo jedną z wielgachnych postaci apostołów, tarasujących często kamienne bramy kościołów lub — jeśli wolisz — nasuwał wyobraźni proill legendarnego Krzysztoła, co to na zbójckich barkach dźwigał przez webrany potok dziecię — Chrystusa, i na środku nurtu się zasał, przygwożdżony do ziemi brzemieniem Zbawy.

Ślad jego butów rozróżniłbyś wśród tysiąca tropów. Nie przypominał bynajmniej pasownego odcisku strojnisiowej podszewy, lecz raczej krzakasty wybój tym wyraziłszy, że wielkie drogi, przysłonięte umbrami wiazu, uinąły jak gąbka iaci w sobie wilgoć, nawet w porze, gdy naród smażył się na rżyskach.

Miarowy cztap Władka daleko dawał hyl o miarę.

— Oho! Gorgul idzie — śmiała się pierwsza lepsza z brzegu gospochara.

Ktoś, znający go jeno z zasłyszku, wykręcał ciekawą grębę w kierunku zasmarkanych plut szysz przykazy: —

— Ady przecie nic wele okien nie widać —

— Ho ho — bo jeszcze — Bóg wie — na

chłotym kilometrze. Ale wy go tu zarozżek użyrcie. Nie słysycie, jak odmierzo kroi?

On zaś sunął przed siebie wolno stukiem upiornego zegara. Obszerna, laciata kurtka, napęczniała od głonów chleba, wisiała na nim jak płachta na stroku. Filcowy wyszarzany kapelusz krył na kształt owianego chochoła rozwichrzoną kopę głowy.

Sękaty kostur — majstersztyk wlosiowski stolarza o głowni przypominającej związaną w kulak pięść parobka, automatycznie pukał w błoto, podrywany wżwyz ciężkim ramieniem łazęgo.

Gorgul mieszkiał na Okrajkach. Nazwą tą szczylił się przysiołek dawno zrosnięty z wsią — macierzą, a rozkrękotany w kotlinie między wałem rzecznym a mierzwą olchowych krzaków. Chałupina Władka przykucała o pół staja od kopiska domostw, wypierzona, półosiębnem zezującą — w świat frasoliwli. W kępie sadyb, krzepających się jeszcze jakotako, wyglądała jak szalas owczy. Wybite szczyby zastąpiły szmaciane kukły lub poprostu deszczulki przyrządzone ot byle-jeno, służące wiatrom za piszczałki a muchom za przejścia do wnętrza izby, ilekroć chłodniejszy podmuch studził ziemię.

Ongi Władek Gorgul nie żył samotnie. Zasobniejsi w lata chłopci pamiętali, jak to bezmała kopę zim temu prowadził dziećkę do ontarza. Nawet przypominają sobie (dziwna jest pamięć ludzka o bliźniego przywaraach), że jęgo wybrana miata zęza i chromała na lewą pięć. Ano któż ta wie, czy to prawda i cóż nas to wkońcu obchodzi. Najistotniejszym jest to, że połowicie miał i, że widywano ich razem idących obok siebie: — on długi i wygięty jak dżyszel od kierała, ona przysadzista i krępa jak rzępa. Z postępem dni zaczęły się grzypzy w małżeńskim werku i coraz rzadziej widywano ich we dwoje. Aż któregos lata jął stapać w pojedynkę i takiego leż przekazuje potomności.

Mimo wszystko Władek nie chadzał smutny. Ilekroć mijalem go w drodze lub gościłem w chacie po proszalonym, zawsze uśmiech mar-

szczył jego twarz. Uśmiech to był przedziwny. Nie rozdzily go widziane przedmioty ani słowa darowane chętniej niż kromki. Nie zmazała go płatwa ani zgroźniono słone. Tkwił korzeniami we wnętrzu, zawsze jednaki, zastępy, wynikający ze źródła, któremu nie groził brak ani wyczerpanie się.

Źródło to stanowiła przywara dziwna, maniactwo wielmożne, co zawładnęło jestestwem Władka i odeszło odeń pospołem z życiem.

Władek Gorgul był muzealnikiem. Jak pamięcią w tył sięgnąć chodził od chaty do chaty i wypraszał przedmioty dla wty bezpożyteczne, dla niego stanowiące sens tyrania się padolnego.

Kostury! — Ileż tego znosił i jak rozmaile. Sękowce chropawe, odziki debczaków leśnych, laski — emerytki, obłe eleganki, kunstwowym przemysłem wlosiowski tokarz dhubane. Lagi — maczugi o głowniach kształtu karpiela, z których niejedna lusczyła się na parobczarskich karkach w narywie karczemnych bijakty. Kłoby tam liczył i opisał ich historie. Każda miała swój dopust i dole i odzwierciedlała charakter właściciela, — rachityczna, jak dzień chłopski, zadzierzysła, jak fantazja ryzykanta —

Modlitewnik! Jakież to nie leżały koromysła! Wśród książek małych, czarnoopranych — z którymi jeno wielkie prymaśnie przed prezbiterium paradować zwykły, znalazł się ataki wielkości plebańskiobwiewra o literacki jak szczeble drabiny cienkich, wywijasowatych, zębyś je palcami namacał. Ojcowie z nich polecał się Bogu a nierządno wgnarli mądrość sylabizowania, to też zatęrzył się i wykbal, że niełopotybie je przez okulary przestuderował.

Próżnobyś Władkowi w łapsko diabelstwa świeckie wtykał, jakąś — dajny na to — powieść czy poemat. Ledwo rzucił okiem na okładki, już spławał a zasniał się kryką nikię przed atakiem psa zeżłonego —

— Jus ta wy mi tych okabutów pod nos nie podsuwojcie. Cytojcie se sami, jak wos



wali w analogicznej sytuacji znajdującą się Riekę, ani nawet Litwinów, którzy w r. 1923 tak samo postąpili z polską Kłajpedą. Ciągłymi ustępstwami rozczuchawaliśmy coraz bardziej gdańskich Niemców, dopuściliśmy do tego, że Gdańsk, mimo że prawie niczym nie związany z Rzeszą, faktycznie zwiadczał od przewrotu hitlerowskiego znalazł się pod jej komendą, że ludzie odkomenderowani z Berlina a nie z Gdańskiem nie mający dotąd wspólnego zaczęli coraz wyraźniej realizować wysunięte przez siebie hasło „Zurück zum Reich” i coraz bezwzględniej walczyli ze słudami polskości Gdańska, a w szczególności z żywiołem polskim w tym mieście. Jakkolwiek żywioł polski w W. M. Gdańsku nie jest zbyt liczny, jest jednak mimo pozorów o wiele liczniejszy niż się nam na pozór wydaje. Kiedy w przejeździe znajdujemy się w Gdańsku i pozbicie oglądamy miasto, robi ono na pierwszy rzut oka wrażenie miasta całkiem niemieckiego, a wrażenie takie wytworza u nas mowa niemiecka, którą się tu ciągle na ulicy słyszy, często gęsto powiewające niemieckie chorągwie, a osobliwie na każdym kroku spotykany napis „Danzig ist (albo bleibt) deutsch”. Jeżeli jednak rozejrzemy się po mieście bliżej, to doszukamy się łatwo nie tylko tak skrajnie zaczerpniętych przez Niemców śladów dawnej polskości, ale przekonamy się, że w Gdańsku mieszka wcale liczna ludność polska. Już odczytywanie szyldów wskazuje nam na ogromną ilość nazwisk o brzmieniu polskim, a tu i ówdzie weszliśmy do sklepu czy warsztatu przekonyjemy się, że jesteśmy u Polaka. Mimo woli stawiamy sobie wtedy pytanie, ilu też jest Polaków na obszarze W. Miasta? A odpowiedź na to pytanie nie jest łatwa, gdyż gdańskie spisy ludności celowo nie uwzględniają rubryki narodowości, aby utrzymać pogląd, że Gdańsk, to czyste niemieckie miasto; zresztą przyznajanie się do polskości w Gdańsku wymaga nie o wiele mniejszej odwagi, niż przyznawanie się do tego w Niemczech, a często nie pozwala

na to zależność ekonomiczna i brak świadomości narodowego proletariatu, z którego składa się większość gdańskich Polaków. W przybliżeniu tylko możemy oszacować ludność mającą jeszcze żywsze poczucie związku z polskością na 10 — 15% ogółu ludności całego obszaru W. Miasta, która przekracza już liczbę 400 tysięcy. Liczba tych, którzy otwarcie przyznają się do polskości a wyrażają ją przede wszystkim przez głosowanie na polskie listy, posyłanie dzieci do polskich szkół i przez przynależność do polskich organizacji jest z wymienionych powodów znacznie mniejsza, a nawet do niedawna procent tych narodoświadomych stale się obniżał, jak to wynika choćby z zestawienia głosów polskich, oddawanych przy wyborach do „Volksstagu”. W r. 1920 oddano na listę polską 9.300 głosów, w r. 1927 już tylko 5.655 i dopiero wybory z r. 1935 przyniosły wzrost ogólnej liczby głosów polskich, zbliżając ją powoli do liczby głosów z r. 1920. W rzeczywistości jednak stosunek ilościowy głosów niemieckich do głosów polskich jest bez porównania dla nas mniej korzystny, niż był w r. 1920, a to ze względu na ogromne zwiększenie się ogólnej liczby uprawnionych do głosowania, która podskoczyła od r. 1920 o przeszło 100 tysięcy. Ten, nigdzie na świecie niespotykany przyrost, wynoszący w ciągu 13 lat 65% głosów, oczywiście nie ma przyczynny w nadmiernej rozrodzności niemieckiej ludności Gdańska a tylko w tym fakcie, że władze gdańskie przyznają obywatelstwo gdańskie każdemu Niemcowi z Rzeszy bez najmniejszej trudności, natomiast osiągnięcie obywatelstwa gdańskiego przez Polaka z Rzeczypospolitej jest w praktyce niemożliwe. Może najważniejszym dowodem narodoowego świadomości jest posyłanie dzieci do szkoły polskiej. Ten zewnętrzny dowód polskości polojęzycznego gdańszczanina jest równocześnie najbardziej zasadnicze znaczenie mającą sprawą dla przyszłości polskiej Gdańska. Dlatego na-

leży dolożyć wszelkich wysiłków i ponieść wszelkie ofiary dla jak najsukceszniejszego rozwoju szkolnictwa polskiego w W. Mieście. A stan tego szkolnictwa mimo bezspornego dużego postępu nie jest dotąd zadowalający. Główną przyczyną tego jest szowinizm władz gdańskich, który wbrew istniejącym ustawom i zobowiązaniom na każdym kroku, gdzie tylko mogą, jawnie lub skrycie, paraliżują polskie poczynania w zakresie szkolnictwa. Ciężkie warunki ekonomiczne, wśród których żyje większość Polaków gdańskich, oraz niewystarczające poparcie ich wysiłków przez Polaków z Rzepitej, to dalsze przyczyny. Chciałbym tutaj w paru słowach wskazać na ów brak wystarczającego poparcia z kraju. Kiedy zwiędza się niektóre polskie szkoły w Gdańsku, naprawdę serce ścisła żal, jak ubogo urządzone, jak skąpo i prymitywnie nieraz wyposażone są te szkoły w porównaniu z wspaniałymi pałacami szkolnymi, jakie za pieniądze z Rzeszy wniosła u nas mniejszość niemiecka. Czy naprawdę nie możemy zebrać w Polsce kilkuset tysięcy na ten cel? Przecież polskosc w Gdańsku, to zasadańska rzecz dla naszego narodu i państwa. Tyle u nas przecież wydawało i wydaje się pieniędzy a nie zawsze potrzebnie!

W Gdańsku istnieją 2 rodzaje szkolnictwa polskiego: szkolnictwo senackie, a więc publiczne gdańskie, i prywatne Macierzy Szkolnej. Szkolnictwo senackie ogranicza się do 8 szkół samodzielnych oraz 4 pojezyycznych klas z polskim językiem nauczania. W szkołach tych jest ogółem (dane z początku roku szkolnego 1935/36). 1462 dzieci. Szkoły senackie wprawdzie zwalnają Polaków z obowiązku ich utrzymywania, ale nie zawsze spełniają swoje zadanie, gdyż personel nauczycielski złożony jest najczęściej z Niemców, albo renegatów, wskutek czego nie zawsze szkoła polska z nazwy — jest polską z ducha. Ten brak polskiego ducha w szkole senackiej (w ostatnich czasach zaszły pewne

piekielniki kusi — nie mieć haw brać na takie pańskości —

I próżnoby go namawiał —

Zdarzył się wśród pospoliczności rzeczy cenne, jakiś spleśniały, obcy dziś oczom kanjonał, z którego działo się kołendy Chrystusowi zawodził lub księgozbiór nowenny, niezgrabnymi członkami prowincjonalnej tłoczni nagryzłomony. Gratów tych wsiwość kmiotki wyzywały się chętnie, że to osąd młodych, zdolny nawet mechel kmięcego konserwatywnu przewietrzywał, uważał je za niemodne i że jakoby niehonord było, by takie zleżałe książeczki dostąpił majątkowo kmięcia na oczach chudości za pazuchą nieśli.

Umiał fecthować Władek, knewie i samego króla dziańdów przemieszany zdołał. Przypiął się do skórkę jak pijawka lub bieda i gadał i ślimaczył, aż bokiemy wyłaziło.

— A weź-że se smętku milijoniski i idź kej cie ponosi, bobyś mi głowę zamotof — dawał za wygraną gospodarz —

— Bóg zapłać kmięnie swocyku — dziękował Władek i na długich szlapanach wędrował dalej, aby znów gdzie jakiś antyk wydobić —

— Władek — ady dziadus Tucnowski umar — idźże — mój taką zmyślną loskę — może ci ją po nim dadzą —

— Władek, grasiłoku zapadły — przecie ciotka Kusconka już ino — ino — z łóska nie wychodzi. Idźże, io ci zapisze te kantyckę, co to jesse Guzik — kościelny z ino kołendy w starym kościele śpiewo! —

I Władek pamiętył choćby i cztery mile, byle wzbogacił zbiory, byle zagnął nowy na bytek.

A ludziska kiwali głowami i poszeptowali w usmlechu —

— Mój Boze, zeby takich spadkobierców wiecy beło na świecie, toby temu — owemu nie zol beło umierać —

Najbardziej jednak Władek ukochał figury świętych, co dobroliwie mokły na rozdrożach

okolicy. Tutaj biło źródło jego intymnych, obcych ludzkim radości i stąd przyszedł nań kres załosny.

Gdzie nie zasedł, co nie wynosił byłe światka przejąc na własność. Od starego archiwum kościelnego na chórkę, aż do tępych ostępów leśnych wszędzie czałapał, wszystko oczami spenetrował. O każdym świętku mógł długą historię prawić, byleś go umiał za język ciągnąć.

A wodził Władek ze świętami dyskurs przedziwny, wzruszeniem oparunkający serce.

Bywało — siadał sobie na środku izby, ogarniał chudość spojrzeniem i gadał: —

— Teros wom tu ciepło i przymilnie, nie jak to hajnok na polu. Kody swój katek mo, desc wom na świecie sukmanki nie kapie ani wiatr z kapłeki nie srucio. Honornieście se stoli na krzyzowych drogach, dopokąd nie przysła na wos, jak haw i na mnie, starosć — I ludziska już nie tak patrzeli jak dawni. Siaki — taki, choć cople zdjon, o biedusi wasy myslot: — Jadę tuco do miasta to sie spylom kmięcia, niorza wielaby chciot za nowego, bo ten do izna zbutniot —

I gawędzby powędrował pod blachę, zebym cie od niego nie wyprosiot.

Bo jesse o gospodarzu się nie śniot, jagem cie pomogot strugać dziadkowi Hankowi z Relowy, kej my paśli krowy na bionich. Sporo się już przewzeliot lot. Na grobie dziadka inego pochowali, bionie zaorali plugi, a ty se to stois całuski. Ino ci trochę portęta wypłotali i coplek chorobiki zgryzły.

— A ciebiem Patronko dobry śmierci z lasu przynios, kej to drzewo leśnego przyniętiot. Z trowym cie wyskubot, bo cie wiatr srucił z chojoka abo sęk jaki cy pok skrzydem. Siedź-se tu u mnie wygodnie, tu sie i krasiwony nie drą, ani wiatr nie porzko śniegiem. Mores se myśleć co chcesz — nikt ci w drodze nie wlezie.

— A tobiem Poniezusicku frasołbiwy miejsce nojhonorowsie doł na pniokcu. Z krzyzami

cie zdjon, co sie sfałot zbutnioty na ugor, bo go ni miot chlo kołkiem podeprzeć. Pamiętot — kes bym ni pamiętot: — popremem-beł i cielećtam nawroćot jak ci ten krzyz stawiali. Darowot cie nieboscyk Wrona organista wiedy, jak to syn jegi Franuś w powstaniu od kul strażników zginiot. W pley ci go zbioje trafieli. I tak już zostot. Krew mu sie bez gebe lola, jak nom cos każot kochać w gorące. Nie wiem — bom ta nie zrozumiot — Polske cy co. — A potem go w nocy wzieni druzdy, co sie terali po ołsynach — i pochowali na smontorzu —

Tak to Władek Gorgul ze świętami pogwarzał. Jedyni to byli, którym spotańoga głab duszy jako ten kwiat tajemniczy otwieral. Jedyni, co nie kpili zeń lecz usmiechali się do brotliwie. Przyszłość pełną wstrząsów i przejęsć jak krom chleba tmańsli bezczębnymi szczękami wespół z orszakiem figuzynek.

A gwarzył tym częściej im bardziej starości kamień żarnowy przynęłot go ku ziemi. Włóczył już nogami nie mógł i krwią charzał, więc jakoż się było za krzy wychylił. Ludziska przylizali czasem i rzucali ochłap miłosierdzia. Jeno ze wyniosili się zaraz z chałupy, bo chory robił pod siebie i cuchło oden jak z obory.

Aż w któryś z mroźnych zimowych wieczorów, gdy wioski naród z kurami spać się już pokładł, zlitowało się nad nim przeznaczenie i przyniosło mu kres czekany. Czy to, że chciał się ogrzać kostniejący z zimna, czy też z innej jakiej przyczyny, zapalił się barlog pod nim i zanił się ludkowie zbiegli, zgorzał pospolu z gromadą świętych, co hurmem czuwalu w wezwotia. Dobrotliwi świętowie wzięli w podotek duszę swego opiekuna i powiedli ją w zagrodę niebieską.

I pewno tam światł, tęskniąc, wpatruje poprzez chmur opar dziadków, sierociejacych wśród załuków ziemi i snuje z nimi dziańdowskie dyskurs, o tym, jak to bół i przymród przemina, a dobre ukonienie wcześniej czy później na olepatę głowie połoty szczęsną rękę.

zmiany na lepsze) oraz niewystarczająca ich ilość spowodowały konieczność powstania na gdańskim terenie polskiego szkolnictwa prywatnego. Opiekę nad nim objęła powstała w r. 1921 Gdańska Macierz Szkolna, która mimo niewielu lat swego istnienia wielkie już położyła usługi na polu walki z naporem niemieczym. Dziełem Macierzy Polskiej było stworzenie w r. 1922 gimnazjum polskiego (obecnie Gimnazjum Macierzy im. J. Piłsudskiego), do którego powstania wiele też przyczynił się swymi płomiennymi odezwami Stanisław Przybyszewski. Gimnazjum to liczy obecnie 547 uczniów. Ponadto Macierz Gdańska utrzymuje 4 szkoły powszechne o łącznej liczbie 714 dzieci, 18 ochronek z 717 dzieci, dalej i. zw. Szkołę Średnią o 72 uczniach, oraz t. zw. Wyższą Szkołę Handlową i złączoną z nią Szkołę Handlową o 228 uczniach. Do tego należy jeszcze doliczyć konserwatorium muzyczne o 66 uczniach, oraz kilka kursów języka polskiego dla starszych i młodszych. Razem więc we wszelkiego rodzaju i typu szkołach Macierzy było 2344 uczniów. Jeśli więc do tej liczby dodamy 1.462 dzieci ze szkół powszechnych, senackich, otrzymamy łącznie 3.806 uczniów i uczennic, pobierających naukę w języku polskim. Dwadzieścia procent tej liczby stanowią dzieci obywateli polskich, zatrudnionych na terytorium Wolnego Miasta. Ogólna liczba dzieci w wieku szkolnym na terytorium Wolnego Miasta wynosi ponad 9 tysięcy. Jeśli od liczby tej odłączym młodzież szkół średnich, przekonamy się, że załadowie trzecia część dzieci polskich w Gdańsku pobiera naukę w języku ojczystym. Przed Macierzą Szkolną stoi więc bardzo ciężkie i odpowiedzialne zadanie włączenia i tej pozostałej młodzieży do szkoły polskiej. Na przyszłość temu jednak stoimy nie tylko zyskowi władz gdańskich, które zwłaszcza drąga stosowania t. zw. pierwokupu (Vorkaufrecht) uniemożliwiają uruchomienie nowych szkół polskich, ale i brak wystarczających środków materialnych, które by w całej pełni pozwoliły na rozwinięcie odpowiedniej akcji. Tej działalności Macierzy winno przyświecać, jak najwydatniejszą pomocą materialną społeczeństwo polskie i polskie władze, które przez zastosowanie w stosunku do szovinistów gdańskich właściwej polityki powinny stworzyć dla pracy Macierzy Gdańskiej odpowiednie warunki. Tyle o sprawach szkolnych.

Co do polskiego życia organizacyjnego, to jest ono w Gdańsku dość silnie rozwinięte. Organizacje polityczne reprezentuje przede wszystkim powstały w r. 1933 Związek Polaków, obejmujący Polaków obywateli gdańskich i polskich, podczas gdy znacznie starsza konkurencyjna Gmina Polska przyjmowała do swoich szeregów tylko obywateli gdańskich. Obydwie te organizacje są odbiciem stosunków wewnątrz kraju, gdyż Związek Polaków reprezentuje kierunek t. zw. prorządowy, Gmina Polska zaś opozycyjny. Rozbicie to wnosi niewątpliwie zamieszanie do polonii gdańskiej i utrudnia walkę z naporem germanizmu. Należy życzyć Polakom gdańskim jak najprędszego dojścia do porozumienia i wzajemnej zgody. Celowość przeniesienia domowych swarów na teren Polonii zagranicznej jest wątpliwa, obójtemy bowiem wydaję się to, kto jest sanatórem, a kto endkiem, czy socjalista; ważnym powinno być chyba tylko to, kto się czuje Polakiem, kto utrzymuje polski język, polską kulturę i polską świadomość narodową. Tej tak prostej prawdy nie mogą jednak nieść niektórzy ludzie pojąd. A naprawdę należałoby sobie życzyć, żeby zanikawszy bezpłodnych swarów, wytworzył wszyscy gdańscy Polacy jednolitą dla wszystkich platformę, na której wszyscy mogliby się zmięścić i porozumieć. Obok tych dwu organizacji różne dziedziny życia zbiorowego gdańskich Polaków prowadzą organizacje takie, jak T. C. L. Tow. Ludowe, Tow. Polek, Sokół, kluby sportowe, kilka teatralne i inne. Wśród młodzieży polskiej w dość znacznej liczbie studującej na politechnice gdańskiej główną rolę odgrywa Bratnia Pomoc Akademicka.

Czułność opinii polskiej obudzona ostatnio na terenie Wolnego Miasta rozgrywkami się

wypadkami nie tylko nie powinna słabnąć, ale jeszcze bardziej się wzmacniać. Wylomy, jakie w stanie polskości Gdańska uczynił napór germański, winny być zabudowane. Współdziałanie władz polskich i całego społeczeństwa powinno usunąć dotychczasowe zaniedbania, bo, jakkolwiek dołąd zrobiono na terenie Wolnego Miasta nie mało, jeszcze więcej pozostaje do zrobienia. Należy bowiem wzmocnić opiekę kulturalną i gospodarczą nad miejscowymi Polakami, należy uzyskać wszechstronne, faktyczne, a nie tylko formalne równouprawnienie Polaków w Gdańsku i zaspokoić przede wszystkim całkowicie polskie potrzeby szkolne.

Przewrót hitlerowski, jakkolwiek z jednej strony zagroził prawom Polski w Gdańsku, z drugiej strony otwarł przed Polską na tym terenie duże możliwości naprawienia dotychc-

sowych błędów i ściślejszego zespolenia Gdańska z Polską. Przez reżim bowiem hitlerowski w Gdańsku uciśniona dziś jest nie tylko mniejszość polska, ale i znaczna większość niemieckiej ludności. Dziś ludność ta niechętnie usposobiona do hitlerowskich, którzy wbrew obowiązującej w Gdańsku konstytucji terrorem rządzą miastem, coraz niecierpliwiej patrzy na Polskę, jako jedyny czynnik, który może ją wyzwolić spod gnającego ją jarzma. Postawienie na opozycję gdańską, a nie lirtowanie z hitlerowcami związałoby Gdańsk i większość jego ludności silnie z Polską i pozwoliłoby nam chociaż częściowo naprawić dawne błędy. Ostatnie wypadki i przemiany, jakie zachodzą w psychice części ludności gdańskiej, nie powinny ująć naszej uwagi, to też wyłożony wzrok ku ujęciu Wisły skierować powinniśmy jak najszybciej.

## PRZEGLĄDY

### Na łamach prasy

"Naród i Państwo" uzupełniona znany artykuł red. Miedzińskiego "Na przelocie". Zastępowanie się na wodzie co do słuszności leży dodaje: "Tak więc podstawą każdej istniejącej wartościowej akcji kompozycyjnej musi być, naszym zdaniem, poznanowanie wartości uczelnej i szerszej myśli jako naturalnego i koniecznego współczynnika wszelkiego działania. Śląd też płynnie konieczność przewidywania i odrzucenia szeregu wygodnych w niektórych momentach lecz z gruntu fałszywych poglądów, jak n. p. 1) że ideałem obywatela jest obywatel bezzwłocznie posłuszny, 2) że grup i konkurencyjnych uczelni, 3) że kompozycja zawsze jest więcej wart dla Polski, niżli summy i uczelny zwolennik innej, 3) że mądrość polityczna może na prawdę polegać na konkurencyjnym zwalczaniu odmiennych kierunków działania politycznego przez ślepe przejmowanie dla celów demagogicznych odmiennych sposobów myślenia, niżby wynikało to z isety i charakteru danej "kompozycji" politycznej..." Z powyższym zgadzamy się całkowicie. Powinno to obowiązywać nie tylko tych, którzy to piszą i w których imieniu się pisze, ale wszystkich, których to dotyczyć może. Problem "kompozycji" jawiłby się wówczas w całkiem nowym świetle.

"Czas" Artykuł red. Miedzińskiego stał się podstawą szerszej dyskusji. "Czas" widzi "Trzy możliwości": "Naszym zdaniem zagadnienie organizacji politycznej społeczeństwa, może być rozwiązane trojako: 1) może istnieć jedna jedyna przez państwo uznana organizacja polityczna społeczeństwa, 2) organizacja takich współzawodniczących między sobą może być cały czas 3) państwo w ogóle może nie uznawać żadnych ugrupowań politycznych." Czas wybiera te drugie możliwości... porównajmy sobie stwierdź, że przy obecnej konstytucji, która przewiduje tyle środków zabezpieczających państwo przed ewentualnymi niebezpieczeństwami, wynikającymi z walki partijnej,

oparcie życia politycznego narodu na istnieniu i współzawodniczeniu kilku stronnictw okazać się musi przedziś czy północy systemem jedynie miłym i najlepszym, pomimo że w naszych polskich warunkach system dwóch stronnictw jest niestety niemożliwy".

"Pax", "Społeczeństwo Gospodarki Wojennej" St. Świeńiewicz, to także problem idei i jej twórców. Idei wielkiej potrzeba także w życiu gospodarczym. "W jakim środowisku może się wytworzyć taka idea, która by zdolna była sprząść sięj kraju do upartej i wyłożonej aktywności?" Autor dochodzi do wniosku, że ani oświeceniopoglądowcy ani opozycja tak lewicowa jak i prawicowa niezdolna jest do wytworzenia takiej idei.

"Pozostałe młodziezo... Lecz ten punkt nasuwa mi również wątpliwość... Tragedia ruchów młodzieżowych jest zbyt łatwe poddawanie się ciągłej opozycji. Wydaje mi się, że przyszłość Polski w bardzo znacznym stopniu zależy od tego, w jakim stopniu młodzieżowy ruch nacjonalistyczny potrafi zerwać z tradycyjnymi formułkami, wczuć się w to, co było istotnie wielkim w bogatych dziełach pokoleń poprzednich, zerwać ze wszystkimi szablami klasyfikowania naszej rzeczywistości politycznej — i wyjść na własne szlaki... Dlatego jest też rzeczą tak ważną, aby młodzież była możliwie samodzielną myślowo, aby zerwała ze wszystkimi szablami, wszystkimi formułkami klasyfikacyjnymi wypracowanymi przez polityków starszej generacji".

Ostatnia koncepcja jest potwierdzeniem tego, co "Kulnicza" od dawna podkreśla. Jest to jednak prawda tak niedoceniana i tak opornie przyjmowana, że za jedno z naczelnych zadań uważamy rozszerzenie i pogłębienie tego zagadnienia. Powróćmy do niego w jednym z najbliższych numerów.

## Śląsk — Ziemia Obiecana

Fakt zlikwidowania sześciokilowej granicy pomiędzy Polską a Górnym Śląskiem z właściwym sobie sprytem i konsekwencją umieli wykorzystać przede wszystkim — żydzi. Oni najprędzej odkryli duże możliwości dla swej działalności w tej ziemi bogatej i ładnej, dotychczas przez nich nieopanowanej.

Inwazja żydostwa na Śląsk przybiera coraz bardziej niepokojące rozmiary. Piętnaście lat temu byli tu rzadkością. Żyd w chałacie stanowiąc na ulicach Katowic sensację nie gorszą od murzyna czy cyrkowego stonia. Dziś jakże odmiennie ta sprawa wygląda. Spróbujmy to smutne zjawisko ująć w cyfrę na jednym tylko odcinku kupieckim.

Ogółem na Śląsku Górnym mamy obecnie 15,4% żydowskich przedsiębiorstw kupieckich. W Katowicach jest ich 44,6%, a w średmieście już 51%. W Chorzowie sklepy żydowskie stanowią 20,5% ogólnej ilości, w średmieście udział ich przekracza 25%. To są dwa najsilniejsze skupienia kupiectwa żydowskiego na Górnym Śląsku. Inne miasta wyszły jeszcze stosunkowo obronną ręką. Ale jeśli się zważy, że niedawno nie było tam żyda na lekarstwo, że ilości, jakie stwierdzamy obecnie, użnać należy za duże i świadczące o silnym naporze żydostwa na polski stan posiadania. Powiat katowicki ma wśród swych kupców 10% żydów, świętochłowicki 9%, tarnogórski 7%, lubliniecki 6,5%, rybnicki i pszczyński po 5%.

Znacznie gorzej stan ten przedstawia się na Śląsku Cieszyńskim, gdzie udział przedsiębiorstw żydowskich w handlu wynosi niemal dwa razy tyle, co na Śląsku Górnym, bo blisko 29%. Samo Bielsko ma sklepów żydowskich 52%! Powiat bielski 18%, powiat cieszyński 15,8%.

Jeśli komuś cyfrę te wydawać by się mogły zbyt małe, zwrócić powinien uwagę na inną, jeszcze stronę tego zagadnienia. Przedsiębiorstwa, znajdujące się w żydowskich rękach, w większości są przedsiębiorstwami silniejszymi finansowo od przedsiębiorstw kupców polskich. Dokonują zatem większych obrotów. Gdybyśmy w podobny sposób mogli przeprowadzić statystykę procentowego udziału kupiectwa żydowskiego w ogólnym obrocie, jaki dają sklepy na Śląsku, to statystyka ta dałaby nam smutniejszy jeszcze obraz i ona dopiero mogłaby nam w pełni uświadomić rozmiary zalewu żydowskiego na odcinku kupieckim.

Zresztą co znaczą te cyfry wobec trudności, jakie często napotyka w codziennym życiu człowiek, który przesłizga zasady kupowania tylko u Polaków. Niektóre dziedziny handlu w pewnych ośrodkach należą niemal całkowicie do żydów, co uzupełnia jeszcze należy pewną ilość sklepów niemieckich. Przykłady: konfekcja, składki obuwia, jubilerskie i zegarmistrzowskie, wyposażalnie księzek. Coraz więcej zaczyna się pojawiać u nas brudnych sklepów żydowskich z artykułami żywnościowymi, w których urzę-

dują całe rodziny od starych kaprawnych żydów poczynając do pejsalych zielonkawych młodych żydów włącznie.

Podsumowując ten bilans, przypomnijmy sobie jeszcze, ilu żydów mamy na Śląsku w zawodzie lekarskim, aptekarskim, adwokackim, jaka ich chmara krąży często bezprawnie po domach, sprzedając naiwnym różnorodną tandetę za ciekawe pieniądze i na dogodne raty.

W obliczu tych faktów musimy się zdobyć na maksimum wysiłku i solidarności narodowej i podjąć zdecydowaną, konsekwentną w każdym

szczególne walkę o oddzielenie Śląska a zwłaszcza o oddzielenie handlu na Śląsku.

Żyd na Śląsku to skutek naszej stałości i niedołęstwa, to skutek naszego antysemityzmu werbalnego, z którym czas już najwyższy skończyć.

A kupiectwu polskiemu przypomnieć trzeba, że tylko wówczas możemy myśleć o zwycięstwie, jeśli ono okaże zrozumienie sytuacji i zdoła się na postępowanie, które nieczym nie oduszczy wydatnego żydowskiemu kupcowi klienta.

## Łużycanie czy Wandale?

Fantazje proś. niemieckiego na temat pochodzenia Łużyczan

Łużyce niewielka wyspa słowiańska pod Berlinem z niezłomnym uporem broni się przed zabiorczyczą germanizacyjną falą. Od Łużyc dzieli nas zaledwie 90 cilo kilometrów pas niemiecki. Nie należy zapominać, że język łużycki przez dziesięciolecia wiekami nie różnił się od polskiego, a jeszcze dziś język dolno-łużycki i wyszlachliwiałych wykształce najwięcej podobieństwa do języka polskiego.

Z Łużyczanami łączący nas w przeszłości węzły przyjaźni, choćby wymienić tylko ważniejsze nazwiska z długiego ich szeregu, jak np. A. Kucharski, rektor A. Parczewski. Z chwilą powstania Polski przyjaźń ta porzucamy nam.

Od dłuższego czasu tak w prasie codziennej jak i w tygodnikach, niemieckich i pol., publikacjach Trzeciej Rzeszy coraz częściej można spotkać długi artykuły, pseudo-naudo, stwierdzające, iż kwestia narodu łużyckiego, tzw. „Wendenfrage”, nie istnieje.

Niemcy starają się wszelkimi sposobami dowiedzieć, iż tubylcami na ziemi łużyckiej nie są Łużycanie lecz plemiona germańskie.

Ostatnio w „Überlaiser Heimatkalender” na rok 1937 opublikowano m. in. obszerny artykuł p. t. „Zur Wendenfrage”. Autor prof. Dr. Walter Stieler po nagromadzeniu szeregu przykładów na dowód rzekomego powołania Łużyczan z plemionami germańskimi stwierdza, iż Łużycanie tj. Wendowie (błędne określenie używane przez Niemców) i Wandalowito na nazwa jednego

I tego samego plemienia germańskiego. Całkiem dobitnie na stronie 63 podaje: „Die Zusammenordnung der Wenden mit den Wandelen findet beachtliche und überraschende Stützen”.

Czyż szerzenie tej opinii przez uczonego niemieckiego nie jest jednym z tych licznych ataków na wytworzenie kłopotliwej sprawy dla ludu łużyckiego? Przecież nauka już dawno stwierdziła, iż w początkach dziejów historycznych nad Łabą osiedli plemiona Słowian. Nad Łabą spotykamy górnych Łużyczan zwanych Milczanami albo Budziszanami — sami zaś nazywali się Serbami. Oni to są odłamem dawnych — już dziś wymarłych — Słowian polabskich Serbów albo Sorobów, do których należały jeszcze inne plemiona, jak Łupianie, Lubuszanie, Nizanie, Głomianowie lub Dalemnicy. Ci Sorobowie, mieszkający między Salsą a Mollawią, stanowili odrębny szereg Słowian łużyckich. Tylko i jeden ze szczepów lechickich. Wschodnią część Lechitów weszła w skład państwa polskiego. Taki był stan faktyczny — twierdzenia są o pokroju prof. Stieler, iż Wendowie i Wandalowito to jedno i to samo plemię — należy chyba złożyć na karb swojej! megalomanii niemieckiej anekluacji wszystko na rzecz Rzeszy.

Lud łużycki mimo potężnego naporu germanizacyjnego po trzech długie wieki wyrwał: nie znalazły go dziełowe nieprawdopodobie i zawziętości. Niezłomny w swej walce bronił z determinacją zachodniego szcena słowiańszczyzny, wierząc w jaśniejsze jutro.

wadami zdążył bistra i żywą obserwację, duże wyrobienie stylu. Urywek I. Hufi wspaniale, że należy to naćci oczekiwać powieści ludowej niż powagno dzieła literackiego. Opowiadanie P. Musiolo nie nowe, dobre opracowanie literackie jest ciekawym obrazkiem z życia wsi śląskiej z okresu wojny. Tytuł noweli Hufi „Woda w kopalin” jest symboliczny. Rzeczywiście woda i to w dodatku z cudzej siłdny.

O noweli Buki „Między młotem a kowadłem” nie można powiedzieć. Redaktor przezwiał mu czytanie przed dojdaniem do połowy opowiadania. Autor rzeczywiście nie nadaje się na reżysera, ale sposób, w jaki mu czytanie przeważa, nasuwa bardzo nieładnie dla redaktora „Żywego Dziennika” refleksje. To samo da się powiedzieć i o incydencie z nowelą Hufi i to różnica, że w pierwszym wypadku wrażenie było znacznie przykrejsze.

W omawianym numerze wystąpił ponadto: Berger Karol, Bunsch Adam, Kania Jakub, Kobiela Ludwik, Krzazas Walenty, Odrzańska Teresa, Mincelowski Gustaw, Prade Franciszek, Regorowiczowa Olga, Świątek Florian, Zabierzewski Janina, Zechowski Włodzisław, Kozłowski Gołba odczytał ciekawy fragment dramatu „Lompa”, Wiersze T. Odrzańskiej, bezpretensjonalne, proste i mile. G. Morciniec wybrał niewłaściwie na taki wiektor temat mówiąc o „Listach od czytelników”. Wyglądało bowiem na kłopotliwianie publiczności swoim „powiedzeniem” i popularnością. Emanuel Imiela ubawił się doskonale odczytaniem swoich niemieckich, bo przy każdej okazji powtarzanych, bajek.

Organizacja wieczorów bardzo słaba. Poza wspomnianymi już niemieclmi incydentami przerywanymi czytelnymi utworów za ujemną jej stronę uważać trzeba przeładowanie wieczoru. Rozbrajać ją była radość redaktora, gdy mu oświadczone dwukrotnie, że wywołany autor nie przybył. Zh.

Państwowa Nagroda Literacka nareszcie trafiła do właściwych rąk. W dniu 23 stycznia wręczono ją Kazimierzowi Wierzyńskiemu.

Juliusz Kędziara, autor nagrodzonej na konkursie I. K. C. powieści „Marcyna”, napisał dramat chłopięcy „Burza”. Wystawił go już teatr krakowski i podobno przyszedł żurawca do Atenum. Recenzje były bardzo dobre, ale ze straszną uwagą, że jest to „świeżopiecznia” plus jeszcze jedno morderstwo, gdzie główną rolę gra siekiera.

## Z LISTÓW DO REDAKCJI

Czytelnicy częstokroć listownie reagują na pewne artykuły. Taką reakcją wywołał artykuł o Śląsku Opolskim z ostatnich dwóch numerów „Kuznica”. Do Redakcji napływają listy od ludzi, dla których sprawa 700 tys. Polaków, mieszkających w dodatku na odwiecznej polskiej ziemi, jest sprawą sumienia i integralną częścią myślenia narodowego. Szczególnie jeden z tych listów (od wybitnego pisarza) jest głęboko wzruszający.

Co skłoniło ludzi do napisania tak ciepłych i dziekczynnych listów do nas? Ze małując dale i niedale lud polski nad Odrą, nie obawialiśmy prawdy w bawelin.

Ale jedno nas niepokoi: w prasie naszej nie spotykamy ani jednej wzmianki, ani jednego wywołku z tych wzruszających artykułów. Najlepiej to dowodzi zobojębnienie naszego dziennikarstwa w stosunku do tych spraw. Najlepiej to dowodzi, że trzeba głośno krzyknąć o żywych i wielkich zjawiskach narodowych.

## Jan Drabina

Śląsk Cieszy.

Skoczów

Telefon 73

Handel

Towarom Kolonialnych

fiurt i Detal

fiurtowny

Skład cukru, mąki

i mył. sprzedaż nally

F-my Karpaly

## KRONIKA LITERACKA

### Wieczór autorom śląskich

Redakcja „Żywego Dziennika” zarzucała w drugim sezonie działalności stosowaną poprzednio metodę dotyczące zbierania. Zastawiała metodę koncentrowania artykułów do końca zagadnień względnie obrazowania pewnych zjawisk, starając się nadać każdemu wieczorowi charakter jednolitej całości. Sama impreza niewątpliwie wykołała, że, co musiało być obok płatnych miejsc na apud frekwencji i zainteresowania. Jest to naturalny skutek zrezygnowania z kabaretowych ambicji.

Wieczór poświęcony autorom śląskim był niclada atrakcją. Zapowiadali podawali kilka ciekawych a znaczenie więcej nowych, czy tylko mało znanych nazwisk, każdy więc oczekiwał z zainteresowaniem tego przeglądu sił literackich Śląska. Litania trzydziestu pisarzy wyglądała tak imponująca, że istniejący i żywym plemieniem rozkwitała nadzieja, że wreszcie może przyjdzie ktoś, co rozsadzi opłoki naszego patetykarskiego i, jeśli nie dość, to może jutro lub za rok przejdzie Polskę od końca do końca.

Nadzieje te skupiały się na młodych. Znamy bowiem dobrze możliwości starszego pokolenia śląskich i na Śląsku pracujących pisarzy. A ci w pełnym tego słowa znaczeniu młodzi stanowili nader mniejszość. I o wielu z nich trudno coś powiedzieć na podstawie.

Jesli pominiemy Juliana Przybosa, o którym przy takiej okazji mówić nie ma potrzeby, z całej listy trzydziestu pisarzy kilku zaledwie wybrań mochn takich, którzy na bliższe zasługują zainteresowaniu. Ci nieliczni to: Paweł Kubiz, Kazimierz Foryś, Stanisław Jerzy Polaczek, Edmund Osmańczyk. Nie mamy przy to zamiaru przesadzać rozwoju takich debiutantów jak Kołodziejczyk czy Irena Hanulówna. Wszystkie utwory Kołodziejczyka są jeszcze bardzo młode i bardzo mało jest w nich samego poety a za dużo Jalu Kurka i w ogóle słabszych stron poetyckich awangard. Podobnie niezdecydowanie prezentuje się jeszcze Hanulówna. Przeglądni natomiast wydaje się ta pretensjonalna „poezja” Stanisława Ryszarda Śledzińskiego.

Poezję Kubizka mają siłę uczucia, doskonale i żywe obrazowanie, znacznie wyrobioną formę wiersza, przekonującą swym nastawieniem ideowym. Poeta nie tylko zna swoją gwara, ale umie się nią posługiwać artystycznie, nie zabarwia nią tylko literackiego języka, nie stygnie

jego słów i określił na swoją chłopską mowę, ale mowa ta prosta i niezmienną umie wyrazić wszystko co pragnie powiedzieć. Nie ma w wierszach jego słów, które dźwięczałyby puszką. Tych wartości, które już dzisiaj reprezentują, zamierzać mu nie wolno. Musi i rozwijać parę systematyzacji i pilną, w której dopomnie mu powolny odpowiadanie instytucji, zbył skwapliwie dotychczas zasilać „wzroczność” Adolfa Fierli. Od Kubizka wymagać i oczekiwać można więcej.

Kazimierz Foryśa znać czytelnicy z pięknych i silnych wierszy „Trzynaśtu”, „Oczekiwanie”, „Rzeźbiarstwo z dalekiego Beskidu”. I znów u poety tego podkreślić trzeba jego postawę ideową, braterską i równe odczucie krzywdy i ciężkiej doli chłopca czy bezdomnego włóczęgi, formę opowiadania, pozwalającą na pełne i nieczworne artystyczne wypowiedzenie myśli. Porył nie mały wawiole do Śląska. Wywodzi się z „wiewczinnych” „Zmarami” Wadowiec, pracuje w Zagłębiu Dąbrowskim, ze Śląskiem łączy go „Kuznica”. Takie więcej łączności dla dobra obydwu tych ośrodków winny się mnożyć i wzmacniać. Kubiz, Polaczek, Osmańczyk to poeci z łanymi granic, Porył spoza trójką łaczni czerzezy. Zespoili ich i ich towarzyszy przy wspólnej pracy, to cel pożyteczny i ważny.

Stanisław Jerzy Polaczek również żyłby sobie sympatycznie wierszami „Mach niebieski” i „List do Polski”. Uderzały one, podobnie jak i wiersz Osmańczyka, wysokim poziomem techniki poetyckiej. W grupie tej wymienić należy jeszcze Jana Baranowicza, który dał dola kilka wierszy o nieprzeciętnych zaletach, przewyższających znacznie ogólny poziom jego dosyć licznych utworów. Dlatego to należałoby się domagać pracy bardziej oszczędnej i pogłębionej, która da napewno właściwie wyniki.

Proza była słabszą stroną wieczoru. Użyłszyśmy: nowele Heleny Moskwin-Fikowej „Wellanow Trudy”, fragmenty powieści Jerzego Hufi i Romana Kołodziejczyka, Pawła Musiolo opowiadanie „Gadzinia”, Adolfa Fierli nowelę „Woda z kopalin” oraz Oswalda Buki „Między młotem i kowadłem”. Nowela Fikowej miła, typowo kobieca, jest zbyt wyraźnym refleksem naszych współczesnych powieści, wychodzących spod pier kobiecości. Fragment Kołodziejczyka poza wspomnianymi na wstępie

Redakcja i Administracja: Katowice, ul. Plebiscytowa Nr 1 — Telefon Nr 307-51 — Konto P. K. O. Nr 304.584

ABONAMENT: roczne 5,— zł, półroczne 3,— zł, kwartalne 1,50 zł.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/11 strona 50,— zł, 1/2 strona 250,— zł, 1/4 strona 120,— zł,

Numer pojedynczy 0,30 zł.

Przyjmuje się tylko ogłoszenia firm polskich i chrześcijańskich.